

Życie

WARSZAWA

DZ. Nr 37 13-02-2001

Zjadanie własnego ogona

— „Bachantki” to są greckie „Dziady” — zapowiadał przed premierą reżyser Krzysztof Warlikowski. I pytał: — Jak pokazać na scenie Dionizosa — boga?

Najpierw widzimy odwróconego plecami człowieka. Jego zniekształcony głos przypomina bełkot niedorozwiniętego dziecka. To właśnie jest Dionizos. Nad jego scenicznym ukazaniem zastanawiał się inscenizator.

Już pierwsza scena pokazuje, że Warlikowski za nic ma grecką tragedię, Eurypidesa, tradycję antyku. Drwi także z widzów, bo to, co po-

okazuje, właściwie nie jest teatrem. Z prologu wprowadzającego w akcję utworu nie można zrozumieć nawet słowa, więc co my tu jeszcze robimy? Być może „Bachantki” Warlikowskiego miały być odpowiedzią na dzisiejsze szaleństwo świata. Powtarzający się krwawy rytuał, powracający dramat zemsty, wreszcie zacierająca się granica między tym, co ludzkie i boskie — to wszystko można odnaleźć w rzeczywistości przełomu wieków. O tajemnicy dramatu Eurypidesa pisał zresztą Jan Kott w eseju „Bachantki albo zjadanie boga”. Zamiast iść do Rozmaitości, lepiej przypomnieć sobie ten szkic.

Spektakl Warlikowskiego zrodził się z niewyobrażalnej pychy. Wciąż modny artysta uznał, że może na scenie zrobić wszystko i nie obowiązują go żadne reguły. Jego Dionizos (Andrzej Chyra) najpierw wydaje z siebie nieartykułowane dźwięki, a potem chodzi na czworakach. Penteusz (Jacek Poniedziałek) pojawia się na scenie w czerwonej puchowej kurtce, podobnej do tych, które można kupić w sklepach sportowych na Marszałkowskiej, niedaleko Rozmaitości. Kiedy ślepy Tejrezjasz (Lech Łotocki) — w dramatach antycznych uznawany za wyrocznie — ma rozmawiać ze starym Kadmošem (Aleksander Bednarz) o szaleńczych orgiach w Tebach, najpierw się obaj rozbiorą i zostaną w białych bokserkach, a potem uporczywie będą próbowali stanąć na głowie.

Na scenie mamy jeszcze wypełniony wodą basen, długie żarówki, błędzące po ścianach świetlne refleksy, dobiegający z oddali huk stadionu. W finale Agawe (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik) wypycha sobie mię-



Eurypides „Bachantki”,
reżyseria
Krzysztof Warlikowski,
Teatr Rozmaitości
w Warszawie,
premiera 9.02.2001 roku

DO OGLĄDANIA

Nawet pojedyncze dźwięki muzyki Pawła Mykietyna mają potęgować wrażenie, że uczestniczymy w czymś ważnym i głębokim. Przedstawienia tak nadętego, pełnego sztucznego patosu, nie widziałem w teatrze od bardzo dawna.

Krzysztof Warlikowski uważany jest za artystę kontrowersyjnego. Jego przedstawienia — te wybitne („Roberto Zucco” i „Elektra”) i te słabe („Poskromienie złoŹnicy”, „Zachodnie wybrzeże”, „Hamlet”) — budzą dyskusje. Reżyser wykorzystuje więc, że otacza go aura twórcy niepokornego, bezkompromisowego. Z każdą kolejną propozycją okazuje się jednak, że to tylko poza skrywająca pustkę. Na „Bachantki” — mam nadzieję — nie nabierze się nikt.

Tym razem Warlikowski przekroczył granicę śmieszności. Opowiadał o głębi swego przedstawienia, a stworzył rzecz rażącą banałami. W jego ujęciu rytuał zostaje doszczętnie strywalizowany. Na scenie nie ma ani boga, ani ludzi. Są przesuwające się powoli, napuszone do granic możliwości indywidua.

Reżyserskie praktyki Warlikowskiego są kpina z dobrego smaku. Reżyser ośmiesza nie tylko siebie, ale również swych aktorów. Stale ustawia ich w sytuacjach budzących zwyczajny ludzki wstyd. Szydzi też z literatury, ale Eurypides nie może się bronić. Być może Krzysztof Warlikowski zrobi jeszcze dobre przedstawienie, choć po tym, jak potraktował „Bachantki”, doprawdy trudno w to uwierzyć. Jest wszakże jeden warunek — musi pamiętać, że prawdziwa sztuka nie znosi pychy, a reżyser nie jest jedynym widzem i arbitrem swego dzieła.

JACEK WAKAR